



Napisała: Dorota Barbara Kubowicz

Ilustrował: Marian Stachurski

To była nazwyklejsza w świecie planeta i nic na niej nie zapowiadało przebiegu późniejszych wydarzeń.

Przybyli tu niedawno, zaledwie trzy doby temu. Z małej klatki, jaką był ich piękny, nowoczesny statek, wydostali się na rozległe, pełne gruzu i pyłu pustkowia. Przestrzeń i odległy horyzont zapewne oszołamiały każdego z nich, ale najsilniejszym wrażeniem, podobnie jak w przypadku lądowania na innych planetach, było uczucie zdziwienia, rozczarowania i tęsknoty za Ziemią. Kolejna pustynia... barwna, niezmiernie bogato rzeźbiona, ale jednak pustynia. Zwykle w takich momentach uświadamiali sobie kontrast, jaki stanowił skąpy, surowy krajobraz ładu planety z przepychem życia na Ziemi, z jej piękną, niepowtarzalną przyrodą.

Zorganizowali cztery krótkie wyprawy. Najpierw dotarli do zgrupowania kilku mórz, które w istocie były suchymi, głębokimi basenami, o stromych, pionowych skarpach. Wypełniały je bazaltowe skały wulkaniczne, niezwykle podobne do bazaltów z mórz księżycowych. Drugim interesującym obiektem była olbrzymia kaldera o średnicy około tysiąca kilometrów, zamknięta w pierścień mniejszych kraterów i spękań skorupy. Zbocza wulkanicznego stożka pokrywały liczne potoki bazaltowej lawy, a spomiędzy jej jezorów wyglądały fioletowe plaże.

Miron, przeniknięty niezwykłym zapachem, rozpoczął szybką analizę fioletowego pyłu

i okolicznych, bazaltowych gruzowisk. Był zdecydowanym wrogiem metod poszukiwania życia w oparciu o ziemskie wzorce; stosował wyłącznie swoje metody, zakładając rozległe parametry w trakcie analiz gruntu lub atmosfery.

Nie wykrył, niestety, nic.

Wyruszyli potem ku kanionom, wyłobionym w pobliżu równika. Grube warstwy skalnego gruzu, który pokrywał planetę, tu zamieniały się w rumowisko, kamienny śmietnik. Gładkie i poszarpane głązy, szare i żółtawe, czasem krwistoczerwone, jakby wnętrzości rowów, pokruszone i nieruchome, wyglądały niesamowicie. I ten fioletowy pył...

Całkiem przypadkowo, patrząc w stronę dalekich gór, Lang zauważył błysk, a właściwie coś, co połyskiwało w oddali, w promieniach gwiazdy władającej planetą. Mimo zmęczenia udali się w kierunku frapującego blasku. Im byli bliżej, tym bardziej przestawali wierzyć oczom; zniknęło gdzieś znużenie ich wyczerpanych ciał. Wreszcie byli na miejscu, na miejscu – katastrofy zapewne. Leżały przed nimi stalowe resztki błyszczącego kadłuba rakiety, i to z pewnością nie ziemskiej rakiety. Zaczęli je oglądać i zbierać, rozsypane w głębi kanionu.

Laurent wskazał na drobne, niemal nieczytelne rysunki, wryte kamykami na fragmencie stalowej osłony. Ziarna pyłu, niby natrętne mrówki, nieustannie je zakrywały, zasypywały, Laurent zaś czyścił je delikatnie i niestru-



dzenie, by wreszcie całkowicie odsłonić istny gąszcz linii. Zobaczyli wtedy niezręcznie wyryte dziesiątki kół, a nad nimi deszcz falistych kresek i spłaszczonych ósemek, z których część zlewała się z kołami.

Według Langa były to wizerunki właścicieli rakiety albo wzory matematyczne.

India, która patrzyła urzeczona na rysunki, powiedziała nieśmiało:

– Koła z wiciami... może to jest schematyczny obraz mieszkańców planety, na których, być może, natknęli się kosmici...

Miron zamyślił się.

– Sądzę, że jest nieprawdopodobne, abyśmy teraz, na oczekaniu odgadli, co się za tym wszystkim kryje albo kto lub co podróżowało rakieta, albo też – dlaczego zastaliśmy ją zniszczoną. Zresztą sam mogę wam zaproponować wiele innych rozwiązań, choćby takie, że koła – to przybysze, a fale i ósemki – to tubylcy, walczący z kosmitami. Albo na odwrót. I rozwiązałyby to sprawę zniszczenia wyprawy i zniknięcia przybyszów z Kosmosu.

Podnieśli głowy. Zza gór wychyliła się sylwetka małego, pomocniczego statku. To Linn wracał spod bieguna, gdzie wcześniej zlokalizowali potężne pęknięcie skorupy. Śpieszył się i hałasował przy lądowaniu.

– Nie uwierzycie! – krzyczał z daleka. – Mironie, chyba natrafiłem na ważny ślad... O, niech mnie kule biją, rakieto! – przerwał na chwilę, a zaraz potem pośpiesznie relacjonował dalej: – Nasze zapadlisko to był potężny rów tektoniczny, głęboki aż na trzydzieści kilometrów, do połowy wypełniony ciekłym amoniakiem. Otóż wykryłem w nim kilka związków aromatycznych. Szczególnie może was zainteresuje to, że zidentyfikowałem związki typu puryn i pirymidyn. Potem zapuściłem w morze dwa laboratoria i oto test na wykrywanie form mikrobiologicznych nie dał pozytywnych rezultatów, ale test na plazmidy typu Ziemi lub Czarnej Planety, wyobraźcie sobie, dał wynik pomyślny!

Śluchali go z napięciem. Tyle zadziwiających wydarzeń i faktów! Ileż znaków zapytania powstawało w ciągu ostatniej godziny!

– Nawet nie potrafie powiedzieć, czy wszy-

stko właśnie się wyjaśnia, czy komplikuje coraz bardziej...

Miron zbierał myśli i usiłował starannie rozważyć fakty. Zapytał tylko:

– Czy próbowałeś wyizolować te formy, które podejrzewasz o to, że są plazmidami?

Linn nachylił się nad małą kabiną, w której wcześniej umieścił pojemniki z amoniakiem.

– Są tutaj. Część już dostarczyłem do analityzatorów i czekam na wyniki badań nad budową molekularną tych form i stopniem ich organizacji.

– Plazmidy? – Miron z niedowierzaniem kręcił głową. Przeszedł nerwowo kilka kroków, w końcu zatrzymał się przed Indią.

– Niezbyt dobrze znam szczegóły z wyprawy Dreyfusa na Czarną Planetę, ale ty, Indio, jako biolog, zapewne dobrze to wszystko pamiętasz.

– Rzeczywiście, Mironie, przypominam sobie, że ludzie Dreyfusa wykryli na Czarnej Planecie pewne formy, przypominające w dużym stopniu plazmidy ziemskie. Zajmowano się nimi niezwykle skrupulatnie, dla przykładu – profesor Birton przeprowadził niezwykle śmiałe doświadczenia, w których dochodziło do koniugacji tych plazmidów z ziemskimi mikrobami. Udało mu się nawet doprowadzić do genetycznych powiązań chromosomów myszy, psa i innych wysoko uorganizowanych form, z ekwiwalentami materiału chromosomalnego plazmidów. Na podstawie wyników tych doświadczeń profesor Birton wysunął hipotezę, że w pewnych warunkach może powstać swoisty układ, stan równowagi między tak różnymi formami życia.

– Czy układ równoważnych partnerów?

– Nie. Jedną z form powinno się wtedy traktować jako gospodarza, lub inaczej – żywiciela, a drugą – jako pasożyta, na wzór licznych, nieco podobnych układów symbiotycznych na Ziemi, choćby pies-tasiemiec, gdzie ten ostatni jest pasożytem psa-żywiciela. Kiedy na układy tego typu, jak na przykład plazmid Czarnej Planety – mysz lub plazmid – mózg psa Birton podziałal trzecią, jeszcze inną formą życia lub „życia”, choćby protobiotami typu Marsa lub egzobiotami z Xestes, wówczas pomiędzy pasożytami rozpoczynała się



walka na śmierć i życie. Profesor wysunął hipotezę, że jeśli jakaś forma z innej, trzeciej kulebki życia, wszystko jedno, czy prymitywna czy wysoce rozwinięta, rozpocznie atak na opisany układ w stanie równowagi, to zawsze walczy o gospodarza, i w efekcie ginie lub zwycięża, zależnie od tego, czy jest silniejsza, czy słabsza od zadomowionego pasożyta. Jeśli ginie, to jej DNA lub RNA zamienia się w bezpostaciowy pomarańczowy proszek, i to nieomal w oczach.

– O ile wiem – przerwał Lang – hipotezy profesora Birtona nie mają zbyt wielu zwolenników. Zresztą wydaje mi się, że w morzu amoniakalnym występuje tylko ten jeden rodzaj tworców, a innych na powierzchni i w atmosferze tej planety nie wykryliśmy; skąd więc wziąć żywicieli, jeśli założymy, że plazmidy byłyby pasożytami? Czyżbyśmy nimi byli my sami? Nie sądzę – Lang zaśmiał się.

– Nie zapominaj o przybyszach na rakiecie – wtrącił Miron.

Komputer kończył opracowywanie danych. Linn i Laurent odczytywali w skupieniu kolejne informacje.

– To plazmidy typu Czarnej Planety! – krzyknął Linn.

– Właściwie skąd one tutaj się wzięły, w tej pustyni? – Lang nie mógł uwierzyć. – Przecież, aby przeżyć, podobnie jak wirusy, potrzebują komórek innych organizmów.

– Czy bardzo odbiegają od znanych form? – spytała India.

– Mają zaledwie dwadzieścia genów i jedno białko – odpowiedział Laurent. – Sądzę, że są nieco podobne do części plazmidów bakteryjnych. Te same małe pierścienie DNA, tyle, że zmienione w strukturze przestrzennej. Chyba są aktualnie w formie spoczynkowej...

Mironowi epilog dyskusji wydawał się coraz bardziej wyraźny i równocześnie coraz bardziej nieprzyjemny.

– A więc już możemy trafnie zinterpretować rysunki na rakiecie – powiedział. – Chociaż... bardzo chciałbym się mylić. Te koła, fale i ósemki obrazują chyba walkę. Walkę przybyszów z plazmidami z amoniakalnej toni...

Zaczęło być gorąco.

– Jeśli tak jest w istocie, to próbki, morze, cała planeta jest potwornie niebezpieczna! – mówił głośno Lang, nieruchomo wbijając wzrok w Mirona. Bał się.

Linn zaśmiał się.

– Z pewnością, a możesz mi wierzyć, nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo z ich strony. Godzinę temu trzymałem w dłoniach przesącz amoniakalny, zawierający głównie właśnie plazmidy. Wiem, Mironie, że to było bardzo ryzykowne, ale dzięki temu mogę was uspokoić. Jak widzicie, plazmidy wcale mnie nie zaatakowały.

I Linn, uśmiechając się, podszedł do pojemników, żeby wyjąć z nich małą, szklaną kolbę, zawierającą przesącz.

– Oto wasze tygrysy.

Ledwie to wypowiedział, gdy nagle przez nieuwagę wypuścił kolbę z rąk, tłukąc ją o kamienie i rozsypując dokoła miazgi, pomarańczowy pył.

Ośłupieli.

– Pomarańczowy proszek... jak w przypadku doświadczeń profesora Birtona!... – głos Indii załamał się.

Wszyscy pięcioro znieruchomieli. Patrzyli tylko uporczywie w pomarańczowe smugi, które wiatr szybko rozmazywał po rumowisku. Jakoś nikt z nich nie odważył się wypowiedzieć głośno tego, o czym myślał teraz intensywnie, aż do bólu.

Wreszcie India usłyszała swój denerwująco rozdygotany głos:

– Jeśli ludzie są żywicielami, to kto jest, do licha, ich pasożytem, tak zrećtnie się ukrywającym przez wieki, może całe tysiąclecia... na Ziemi... albo na innej planecie i traktuje Ziemię jako swoją kolonię?

– Agresywne plazmidy swój atak przypłaciły życiem. Kto je zabił?...

Nagle Linn zwinął się w kłębek, a potem upadł na miazgi żwir. Podbiegli do niego, włączyli przenośną aparaturę medyczną, która zawsze czekała, jakby w pogotowiu, na najgorsze.





Linn leżał bez przytomności. Był siny. Gdy minęły cztery minuty bezowocnej walki o przywrócenie mu świadomości, Miron zarządził użycie ostatecznej z metod:

– Wstrząśny Ballarda! Silne!!

Wydawało się, że Linn nie wytrzyma, ale to był jedyny ratunek. Otworzył oczy. Serce, mózg, płuca powracały do pracy. Patrzał przytomnie w chwilach, gdy nie zaciskał powiek z powodu jakiegoś wewnętrznego, zdawałoby się, straszliwego bólu.

Starał się coś powiedzieć. India dała znak ręką, by zaprzestał wysiłków. Użyli jednak wzmacniaczy i usłyszeli rozwleczone, umęczone zdania:

– Chyba niszczą... mnie... Za dużo śladów Ich obecności lub walki... musiało pozostać w moim... ciele... Albo po... prostu przesta-

łem Im się... podobać... Mironie, póki są... tu, użyj bio... detektorów... Złapiesz Ich... Ich budowę... ujawnisz. Ich... określisz... zdemaskujesz...

– Linn, co ty mówisz! Przecież to cię zabije! Nie mogę.

– Proszę... cię, zajmij się mną... zbadaj, czy tkwią we mnie, czy tylko korzystają z... z... świadomości... lub... bo ja wiem... Póki się demaskują... w moim ciele...

India krzyknęła głośno:

– Niecee! Niecee!!! Mironie, nie wolno ci! Słyszysz?! Nie zabijaj go!!!

Linn skrzywił się, a właściwie uśmiechnął brzdami bólu na twarzy.

– Oni tak mnie... wykończają... Mironie... póki żyję... zrób to... Błagam cię, wykryj Ich... i ostrzeż ludzi... Ziemię...



– To rzeczywiście konieczność. To nasza powinność! – Lang zdecydował się w jednej chwili. I Laurent, o dziwo, po raz pierwszy go poparł.

– Nie... nie zabijajcie go... oszczędźcie go... – India łkając szeptała do siebie, gdy Lang z Mironem przygotowywali największy detektor. – Przecież on zawsze był taki... zbyt nonszalancki wobec życia, pełen ryzyka i fantazji... Kochałam go za to... Nie zabijajcie go...

Ukryła twarz w dłoniach i łkała, niemal konwulsyjnie.

Później, z oczami pełnymi łez nachyliła się nad Linnem.

– Chcę ci pomóc...

Ujrzała, jak usiłował uśmiechnąć się mimo bólu.

– Wpadło mi... coś do głowy... Indio... obiecuj mi, że włączysz... promieniowanie neuronowe... Ale obiecuj mi... I... żegnaj...

Biodetektor rozpoczął swoją cichą pracę.

India nachyliła się nad jednym z komputerów. Zrobiła to, co tak chciał Linn, nie zastanawiając się zupełnie nad celowością swojego działania. A potem, z zaciśniętymi ustami stanęła na wprost pozostałych.

– Mironie, dwa słowa... Linn lekcewał życie. To jego sprawa. Ale wy nie macie żadnego prawa być tacy sami wobec jego życia. Nie waszego w końcu! Nie zapomnę nigdy, że nie walczyliście o niego do końca!!!

I odwróciła się, by nie patrzeć na ten cały badawczy ceremoniał.

– Jest!

– Oni działają poza nami!

– Chyba w sferze psychiki...

– Tak, masz rację. Notujmy.

Wokół skafandra Linna rozsypywał się fioletowy pył.

– Mimo wszystko nie zdążyli przed nami go zniszczyć. Zaskoczyliśmy Ich swoją decyzją, byliśmy pierwsi! – wołał Miron.

– Ciekawi mnie tylko... dlaczego nie chcą sprzątnąć nas, kolejnych świadków?... – zapytał nagle Laurent.

India ocknęła się.

– Chyba... tak mi się wydaje... promieniowanie neuronowe, które nas przenika od dziesięciu minut, jest pewną dla Nich barierą... – mówiła cicho.

– Promieniowanie neuronowe?! To świetnie, to naprawdę doskonale! Jednym słowem, jest jakaś szansa nawiązania z Nimi walki. Choćby na Ziemi.

– Więc spieszymy się, wracajmy – zawołał Lang.

Szybko likwidowali obóz.

„Jaka szkoda, że nie włączyłam tego promieniowania wcześniej, zanim... jak wściekłe psy... Chociaż... może byli zupełnie ludzcy, normalni, przez cały czas...” – biła się z myślami India.

– Trzeba zająć się tymi fioletowymi pustyniami na Antarktydzie i sprawdzić, czy są one na pewno zasługą sinic? – powiedział Miron, gdy pośpiesznie wsiadali do statku.

